

Anna Nasiłowska

Przyjemności filologa

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (27), 1-4

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

3
1994

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Przyjemności filologa

Literatura staropolska nie jest ani nudna, ani marginalna. Wydawałoby się, że przypominanie o tym jest swego rodzaju nie-taktem — taka to oczywistość, nie tylko dla badacza czy krytyka, ale dla każdego w miarę wykształconego miłośnika lektur. Można uczyć tego młodzież w szkole, ale nie ma potrzeby tłumaczyć oczywistości ludziom kulturalnym i „na poziomie”.

Tak, ale w praktyce badacz literatury dawnej może mieć poczucie, że często znajduje się na marginesie głównego nurtu — nie tu toczą się zasadnicze dyskusje, a krąg odbiorców jakże często ogranicza się do wąskiego grona specjalistów od danego zagadnienia. Trudno zainteresować książką poświęconą jakiemuś subtelnemu zagadnieniu literatury renesansu czy baroku publiczność szerszą niż kilkadziesiąt osób specjalizujących się w danej dziedzinie. Są jednak wyjątki — udało się to przed laty Janowi Błóńskiemu, jego interpretacja twórczości Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego stała się książką ważną i czytaną. Zajmowanie się literaturą dawną wymaga specjalnego przygotowania i stwarza problemy, na których trzeba się po prostu znać, a to wymaga bardzo wielu lat pracy.

W Polsce romantyzm znajduje się w centrum uwagi, a jednak i w tej dziedzinie można zaobserwować rosnącą specjalizację i profesjonalizację. Ukazują się ważne książki — i zapada cisza. Ale nie sposób wypowiadać się na jakiś temat nie przeczytawszy przedtem tego, co już napisali poprzednicy. A tego jest sporo, coraz więcej, ba, to cała biblio-

teka! Nawet profesorski tytuł nie obiecuje sukcesu w dziedzinie oddalonej od głównego przedmiotu badań. Takie są skutki cywilizacji druku. W tej sytuacji można wręcz podziwiać odwagę Henryka Markiewicza, który porwał się na Ryszarda Przybylskiego. W sporze padły argumenty, a to znaczy, że przerwane zostało pełne napięcia milczenie i profesoro- wie nie trwają już „jak dwa na słońcach swych przeciwnych – bogi”. Skoro piszę felieton wstępny, wypada czynić honory domu i powitać ten fakt z radością. Dobrze, jeśli odrębne stanowiska znajdują swój wyraz w polemikach, źle, gdy zamierają dyskusje. Ale jednak przyznam się do pewnego rozdarcia wewnętrzznego, bo tak się złożyło, że moje lata terminowania w historii literatury upłynęły na słuchaniu rad i nauk Wielkiego Hermeneuty. Nie wszystko wzięłam od Mistrza, ale i Mistrz wcale tego nie wymagał. Żądał respektowania pierwszej, podstawowej zasady: „czytaj najpierw dzieło!”. Nie interpretacje, lecz tekst, który należy samodzielnie wyjaśnić filologicznie, aby potem nawiązać z nim dialog. Henryk Markiewicz czytał książkę Przybylskiego o „Dziadach” i z nią jako tekstem toczy spór. Traktuje tę książkę jako „normalną” pracę literaturoznawczą. I okazuje się, że wszystko nie tak. Ale czy w książce o „Dziadach” musi obowiązywać zasada spójności, gdy sam Wieszczy spójność miał w pogardzie? Całość jest gdzieś w niebie i nawet najbardziej natchniony poeta może co najwyżej dać jakieś jej przeczucia, czy ułamki, fragmenty. Tak sądził zapewne Mickiewicz, i Ryszard Przybylski z nim się zgadza. Skoro zaś nie jest poetą i nie pisze tekstów natchnionych, udając się na poszukiwanie owej całości, bierze za przewodników Ojców Kościoła.

Nic dziwnego, że strukturalizm najslabiej wyraził się w badaniach nad romantyzmem – po prostu w ten sposób niewiele da się powiedzieć o „Dziadach”. Różne szkoły literaturoznawcze mają swoje ulubione epoki i zagadnienia, a o niewygodnych wolą nie wspominać. Kształtują własne kanony dzieł, własne hierarchie ważności zagadnień. Rozpowszechnienie się w uniwersyteckich kręgach Paryża dekonstrukcjonizmu zmieniło całkowicie typ literatury, który interesuje badaczy. Nie dyskutuje się już o Paulu Valéry czy Prusie, tylko o mało znanej Violette Leduc czy Georgesie Perecu (o którym jednak już trochę więcej osób słyszało, także w Polsce). Z pewnością trudno sobie wyobrazić miłośnika dekonstrukcji, który z zapalem zabierałby się do dekonstruowania Balzaca. Co innego Violette Leduc, która pisze w swojej autobiografii, że życie pełne jest dziur, rozpada się, nie tworzy jednolitej

historii. I podobnie — nie wyobrażam sobie Ryszarda Przybylskiego, rozwijającego swe hermeneutyczne koła i sieci w celu zanalizowania prozy Bolesława Prusa! Przecież to groteska. Co innego Henryk Markiewicz, wszyscy wiemy, że pozytywizm analizuje świetnie, systematycznie i historycznie. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że głoszę w tym momencie totalny relatywizm postaw badawczych. Może to jest właśnie rodzaj modnej postmodernistycznej sieczki w głowie, nie opisany jeszcze przez teoretyków tego prądu.

Wielość i zmienność metodologii wiąże się ściśle z koniunkturą dla badań literatury dawnej. Książka Jana Błońskiego stała się ważna, gdyż pokazała Sępa-Szarzyńskiego jako poetę metafizycznego, pokazała obecność poważnej problematyki religijnej w polskiej tradycji w czasie, gdy ten sposób lektury był jeszcze nowy. Tu materiał staropolski pozwalał rozwinąć skrzydła, stworzyć udany mariaż najświeższych mód z dawnością. Nie zawsze to się udaje. Co jakiś czas ogłasza się śmierć autora lub przeciwnie — powrót do podmiotowości, jak zrobiło to nasze pismo w poprzednim numerze. Literatura staropolska to jednak trudny materiał, który nie zawsze jest w stanie poddać się postulatowi. Autor! — tak, ale skąd go wziąć? Nie znając jego nazwiska, nie dysponując choćby mizernym strzępkim biografii nie możemy ani bezkarnie go uśmiercać ani wskrzeszać. Trzeba wrócić do mniej efektownej, żmudnej pracy filologa. Ale od tego właśnie się zaczyna, od wyjaśnienia miejsc trudnych i rozwikłania niejasności.

Problem tak podstawowy jak autorstwo tekstów — to gąszcz trudny do przebycia. Adam Karpiński pisze o tym spokojnie i metodycznie, gdyż stał się już fachowcem. Któż opisze rozpacz młodego adepta, gdy wkra- cza w tę gmatwaninę przypuszczeń, poszlak i zwalczających się autorytetów uzbrojony zaledwie w dobre chęci! Kiedyś błogosławiłam życzliwą młodą i niedoświadczoną anonimową osobę, która na znajdującym się w bibliotece IBL egzemplarzu wydania utworów Tomasza Kajetana Węgierskiego, zawierającego mnóstwo wierszy przypisanych mu niesłusznie, podpisywała ołówkiem właściwe nazwiska autorów. Oby dobre duchy wynagrodziły anonimowemu dobrodziejowi tę przysługę! Spędziłam cztery lata nad twórczością Trembeckiego, ale nie mam własnego zdania, czy obszerny poemat „Spartanka”, paszkwil na Izabelę Czartoryską, wyszedł spod pióra tego poety — czy nie. Odpis jest anonimowy, utwór znany był w niewielkim kręgu, a napisał go z pewnością ktoś, komu król mógł zabronić rozpowszechniania poematu. Profesor

Roman Kaleta, niewątpliwie jeden z najwybitniejszych znawców epoki i twórczości poety, zgromadził wszelkie poszlaki, że autorem mógł być Trembecki i do całego rozumowania dodał jeszcze pewność swojej intuicji. Mnie intuicja niczego nie podpowiada. Cóż, cztery lata to stanowczo za mało, całego życia trzeba — a wtedy być może uda się samodzielnie zbliżyć do jakiejś ważnej tajemnicy. Ale nie wiadomo, czy straczą czasu na właściwe jej opisanie w monografii.

A przecież z zajmowania się historią płyną wielorakie korzyści, nie mówiąc o przyjemnościach, które też są nie do pogardzenia dla historyka literatury. Najdawniejszy zabytek języka, gdy ktoś przedrze się przez meandry deklinacji i koniugacji oraz zawłości leksykalne, potrafi porazić urokiem autentyku nie skażonego jeszcze żadną manierą. Wśród nieznanych poetów sprzed wieków zdarzają się prawdziwi erudyci i okazuje się, że z polskiego zaścianka świetnie było widać Europę, choć nie było wtedy telewizji i szybkich podróży. Lwowski autor wynagrodził Mariuszowi Kazańczukowi cierpliwość poszukiwacza i otrzymaliśmy tekst, w którym bezwiedny sadyzm spotyka się z (również bezwiednym) Gombrowiczowskim absurdem. Myśl, poezja, dowcip nie starzeją się, a nabierają stylu. Ba, nawet wycięty głęboko dekollet sprzed wieków do znawcy może przemawiać silniej niż niejeden współczesny... Filologia potrafi hojnie odplacać się swoim wyrobnikom.

Anna Nasitowska